

Z wizytownika Andrzeja Bobera⁽¹⁹⁾

Twarze ważne i średnio ważne. Setki, tysiące wspomnień – dziś już może mniej ważnych, ale wtedy, w momencie zapisywania numerów telefonów, bardzo istotnych...

Janusz Głowacki – Darujcie mi życie

Pewnego dnia dzwoni Głowa i pyta, czy znam Wałęsę.

– Trochę... – odpowiadam.

I umówiliśmy się w kawiarni „Bristol”. Tam zdradził, że Wajda ma kręcić film o Wałęsie, a on ma pisać scenariusz. I choć zna trochę byłego prezydenta, szuka ludzi, którzy też go znają i mają coś do opowiedzenia. Tym razem padło na mnie.

Szukam w pamięci strzępów tej znajomości, opowiadam, a Głowa notuje. O przygotowaniu do debaty z Miodowiczem, o zauważonych cechach charakteru, o drodze do Lublina na spotkanie przedwyborcze. Wtedy Wachowski doniósł szefowi, że wraz z Krzyśkiem Puszem popijamy jakieś koniaki w samochodzie. Szef się zdenerwował, ale okazało się to nieprawdą, a „Złotowa” (Andrzej Rzeczycki), jego szofer i ochroniarz, powiedział mi na boku, że gdyby to była prawda, toby nas z Krzyśkiem odłączył... Już nie dochodziłem, co to miało znaczyć. Janusza interesują szczegóły i szczególiki, bo – jak mi mówi – nie chce robić filmu na kolanach, interesuje go opowieść o żywym człowieku.

Okazało się jednak, że Wajda miał trochę inną koncepcję filmu „Człowiek z nadziei”. Nie będę tu wchodził w szczegóły, ale po mieście zaczęły krążyć plotki, że Głowacki wycofuje nazwisko z tej spółki z Wajdą. Dzwonię: czy to prawda? Głowa kluczy i nie daje jednoznacznej odpowiedzi, czuję tylko, że jest zmęczony swoim udziałem w tym filmie. Zmienia temat rozmowy, pyta, czy jedziemy z Basią do Juryty, i inne jakieś duperele.

Po premierze filmu okazuje się, że „ze dwadzieścia scen, co je napisałem, i parę pomysłów do filmu nie weszło” – pisze Janusz w swojej książce „Przyszłem”.

Okazało się także, że niektóre sceny najpierw weszły, ale w montażu wypadły. Na czym więc polegało to nieporozumienie? Ktoś słusznie zauważył, że Głowacki dopiero po pewnym czasie zorientował się, że powstaje film oświatowy, adresowany w pierwszym rzędzie do pokoleń, które wydarzeń w nim opisywanych nie mogą pamiętać. A on myślał odwrotnie: chciał przybliżyć człowieka, którego wszyscy znamy.

Jego zawsze interesowała rzeczywistość. Pisał mądrze, z humorem i wdziękiem. W 1972 roku otrzymał nagrodę warszawskiej „Kultury”, ale mu ją cofnięto. Przytapano go bowiem, jak w Chałupach opalał się nago na plaży i posadzono go w Pucku na ławie oskarżonych.

– Co oskarżony chce powiedzieć w ostatnim słowie? – pytał sąd.

– Chciałbym prosić kolegium o darowanie mi życia – ze skrucą odpowiedział Janusz.

I cofnięto mu nagrodę, a sekretarz KC PZPR Łukaszewicz powiedział, że chciał ośmieszyć powiatowy wymiar sprawiedliwości.

Oj, Głowa, Głowa... Za wcześnie odszedłeś. Tyle jest jeszcze tej politycznej goliżny do opisanie.

Jan Karski – Człowiek wielkiej skromności

Naprawdę nazywał się Jan Koziński. Poznałem go w 1997 r. Od zawsze interesowałem się drugą wojną światową, wiedziałem więc sporo o roli, jaką odegrał w czasie hitlerowskiej okupacji: dwukrotnie przedostawał się do warszawskiego getta w przebraniu. Udając ukraińskiego strażnika, trafił do obozu w Bełżcu.

Wszystko po to, by na własne oczy zobaczyć losy masowego mordowania Żydów. Jako kurier polskiego rządu w Londynie dowody tych zbrodni przewoził na Zachód, rozmawiając właściwie ze wszystkimi wielkimi tamtego świata, z prezydentem USA Franklinem D. Rooseveltem włącznie. Ale mało kto chciał mu wtedy

wierzyć... Jego pomniki stoją w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Tel Awiwie i Łodzi.

Byłem wtedy naczelnym „Życia Warszawy” i szukałem tych, którzy na łamach gazety mogli opowiedzieć młodym warszawiakom o tamtych czasach. Udało mi się to w przypadku „Kuriera z Warszawy”, czyli Jana Nowaka-Jeziorańskiego; nie wiedziałem tylko, gdzie szukać Karskiego. Ktoś tam pomógł i znalazłem się na warszawskim Marymoncie, niemal obok własnego miejsca zamieszkania. Małe mieszkanie w bloku, a w nim człowiek wcale nie sporej postury, ale o wielkim spokoju, cichy, czekający, co mam mu do powiedzenia. Najpierw próbował przekonywać, że „było to wszystko tak dawno i nie ma co opowiadać”, potem starał się grzecznie odmawiać, ale ja nie jestem łatwym człowiekiem... Przystałem namawiać, przekonywać, a po prostu prosiłem tak zwykle, po ludzku, by nie odmawiał. Zgodził się.

Zapamiętałem Jana Karskiego jako człowieka wielkiej skromności, niechętnie wracającego do przeszłości, natomiast pilnie śledzącego ówczesną polską scenę polityczną. Nie był o niej (przypominam, że był rok 1997) najlepszego zdania, nie mógł zrozumieć kłótności jej aktorów. Ale także – zdradzam tu fragment naszych rozmów, jednak chyba mi wybaczy – nie mógł zrozumieć, dlaczego Jerzy Giedroyc z paryskiej „Kultury” oświadczał ostentacyjnie, że nie odwiedzi Polski, bo tu dalej komuna...

Karski zmarł w 2000 roku. Ostatni raz widzieliśmy się na Zamku Królewskim w Warszawie 27 września 1999 r., gdy podpisywał mi egzemplarz swojej książki „Tajne państwo”. Wtedy ukazała się po raz pierwszy w Polsce, 55 lat po amerykańskim pierwodruku. W przedmowie do polskiego wydania napisał m.in. tak: „Przed laty chęć wydania książki wyraził szlachetny Jerzy Giedroyc. Początkowo się zgodziłem. Opłaciłem tłumaczenie z języka angielskiego. Do wydania jednak nie doszło”.

Za tydzień: Jan Pietrzak i Marek Piwowski